

# Wylde Thomas

## Czarna jasność

Kiedy weszła do pokoju, Michael niemal upuścił szklaneczkę z drinkiem. Stał jakby nigdy nic, słuchając tego, co jego brat, Jack, mówi o zbliżającym się zaćmieniu, kiedy nagle drzwi otworzyły się szeroko. Gwar, jazgot i podniecony szmer przyjęcia uleciały z pokoju, a on poczuł się bardzo słabo. Mięśnie dłoni rozluźniły się na tyle, że pokryta wilgotnym nalotem szklanka zaczęła wysuwać mu się z palców.

Kobieta cała świeciła.

Stał w odległości zaledwie trzech metrów od niej, ale nie potrafiłby powiedzieć, jakiego koloru miała włosy, jak była zbudowana ani w co ubrana. Czy patrzyła na niego? Nie wiedział. Emanujący z niej blask przybrał złotą barwę z czerwono-pomarańczowymi cieniami na brzegach i pulsował jak płomień.

Rozejrzał się po pokoju, zdumiony faktem, że nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Czyżby chodziło tylko o niego? Może byli w rezonansie? Niemożliwe. Kiedy spojrzał na nią ponownie, blask rozjarzył się intesywnym błękitem, potem fioletem, aż wreszcie zabrakło barw w widmie. Czarne jak śmierć światło zamigotało i zaczęło przepalać mu skórę niczym lutownicza lampa.

Ocknął się na stercie miękkich płaszczy w małej sypialni, oszołomiony bijącym z nich zapachem perfum. Brat stał w otwartych drzwiach, jarząc się przygaszoną poświatą.

- Jak się czujesz?

Nawet nie spróbował odpowiedzieć.

- Przypuszczam, że nie masz ochoty rozmawiać o zaćmieniu?

- zapytał Jack.

Jęknął.

- Całkowite zaćmienie słońca - powiedział Jack. - Takie rzeczy nie zdarzają się w Los Angeles codziennie. To już polityka.

W dalszym ciągu nie odpowiadał.

- Wreszcie udało nam się zwabić cię z gór, a ty wycinasz taki numer. Jak ci się wydaje, co powinniśmy o tym myśleć?

Żadnej odpowiedzi.

- Alice mówi, że nie ma się czym przejmować, bo i tak trzeba było jeszcze jednej plamy na dywanie, żeby godnie uczcić nadejście Nowego Roku.

Michael skrzywił się pogardliwie.

- Ciągle jeszcze nietęgo wyglądasz - zauważył Jack. -

Chcesz pojechać do lekarza?

Odchrząknął, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa. Jack nachylił się nad nim, po czym wyrzwał na korytarz i zamknął drzwi.

- Co ty, bierzesz jakieś prochy, czy co?

- Nie... nie widziałeś... jej?

- Kogo?

Michael zakasłał, czując, jak kręci mu się w głowie.

- Nie widziałeś, jak świeciła?

- Naćpałeś się czegoś - stwierdził z uśmiechem Jack.

- Wcale nie - zaprotestował, unosząc się na łożku. - Ta

kobieta płonęła.

- Hmm...

- Z jej włosów strzelały iskry.

- Oczywiście. - Jack nachylił się ponownie i przesunął

dłonią po gładko zagojonej bliźnie na karku brata. - Chyba nie

jesteś podłączony, prawda?

- W jaki sposób?

- Tak właśnie myślałem.

- Nawet nie mam sprzętu.

- Wiem.

- Kto to był?

Jack wyprostował się.

- Weszło kilka nowych osób. Jak wyglądała?

- Najpierw była czerwona, pomarańczowa i żółta, może

trochę zielona. Potem... Potem zdarzyło się coś... ciemnego.

Jack skinął głową.

- To zdecydowanie zawęża krąg podejrzanych.

Michael opadł na wznak na łożko i wpatrzył się w sufit

oczami rozjarzonymi wspomnieniem jej oszałamiającego uśmiechu.

Nie, to nie tak. Nie było żadnego uśmiechu, tylko samo

oszołomienie.

- Dziwne... - wyszeptał.

Drzwi uchyliły się odrobinę.

- Jak się czuje twój brat? - zapytała z troską w głosie

Alice i weszła do sypialni. Wrażliwość Michaela zdążyła już

znacznie zmaleć, bowiem ledwo mógł dostrzec emitowane przez nią

światło.

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy dobrze, czy źle - odpart

Jack. - Podobno widział jakąś kobietę.

- Nareszcie! - Alice uśmiechnęła się szeroko. - Już

zaczynałam się o niego niepokoić.

Michael jęknął.

- Ona płonęła!

- A teraz w jego sercu tli się słodkie cierpienie -

uzupełnił Jack.

- Przeszyte strzałą Amora - dodała Alice. - Zupełnie jak

na kreskówkach.

- To nie jest żadna kreskówka. Boże, naprawdę nie

widzieliście, jak płonęła?

- Wtedy, kiedy nie byłem podłączony? - Jack zerknął na

Alice. - Nie bardzo.

- Idź do diabła! - roześmiała się Alice.

- Coś się dzieje - powiedział Michael. - Coś okropnego.

Tej nocy śniło mu się, że ogień zszedł do jego chaty z

porośniętych krzakami wzgórz i spalił dokładnie wszystko:

książki, obrazy, płyty, meble, łóżko. Obudził się czując w

ustach smak popiołu i ból głowy, który długo nie chciał

ustąpić.

Późnym rankiem pojechał z powrotem do miasta. Letnie

słońce tak mocno odbijało się w masce samochodu, że aż musiał

zjechać na pobocze i poszperać w schowku na rękawiczki w

poszukiwaniu starych okularów przeciwsłonecznych. Włożył je,

wytarłszy uprzednio szkła o koszulę. Miały powyginane

druty i uwierały w nos tak boleśnie, że kiedy wreszcie dotarł do domu brata, miał ochotę wyrzucić je za okno.

Wygramoliwszy się z kabiny podszedł do krawędzi trawnika.

Po jego drugiej stronie Jack maszerował wokół otoczonego ceglany murkiem klombu róż, przestonięty wzbijającym w powietrze kurzem, ścinkami trawy i ciągnąc za sobą wycie elektrycznej kosiarki.

Michael chciał zawołać, lecz nie pozwoliło mu na to pulsowanie w głowie. Usiadł w cieniu werandy, czekając aż Jack odwróci się w tę stronę i zauważy go.

Z domu wyszła Alice, niosąc dwa lodowato zimne piwa.

Uśmiechnęła się, wręczyła mu puszki i skinęła głową w kierunku Jacka, a następnie zniknęła we wnętrzu budynku, zanim jej mąż zdążył wyłączyć silnik. Zostawiwszy kosiarkę na trawniku podszedł do Michaela i wziął od niego piwo. Przełknął jednym haustem połowę zawartości puszki, po czym wskazał na okulary.

- Coś nie w porządku z twoją twarzą?

Michael zsunął szkła na czoło, ale ledwie cofnął rękę, przeklęte okulary opadły na swoje poprzednie miejsce. Jack skinął głową i pociągnął kolejny, olbrzymi łyk. Michael trzymał swoją puszkę w dłoni, obserwując, jak kapiące z niej kropelki wody tworzą małą kałużę na zalanym słonecznym blaskiem chodniku. Jack otarł twarz ramieniem i usiadł na schodkach.

- Wciąż jeszcze wyglądasz na oszołomionego.

- Muszę wiedzieć, kto był wczoraj na przyjęciu.

- Zapytaj o to Alice. Ona zajmuje się tymi sprawami. Ja jestem tylko facetem, który pokrywa wydatki.

- Czy to było zaaranżowane?

- Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

- Powiedziałaaby ci, gdyby tak było?

- Chyba tak.

Michael pociągnął niewielki łyk piwa. Było gorzkie.

- Wczoraj czułem się tak, jakbym się znowu cały wypalił.

- Mówiłeś, że to niemożliwe.

- To o n i mi to mówili, a ja miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał przez to przechodzić. Chyba nigdy ci nie opowiadałem, jak okropne...

- Jesteś pewien, że to nie był tylko odbłask?

- Niemożliwe. Zbyt wielkie skupienie.

- Hmm...

- Człowieku, to na pewno była o n a.

- Rozumiem. - Jack wlał w siebie kolejną, potężną porcję.

- W takim razie nie wiem, co ci powiedzieć.

Michael otarł ze swojej puszki wilgotną mgiełkę.

- Racja.

- Przykro mi.

- Wiem.

Jack przechylił uniesioną do ust puszkę, opróżnił ją, a następnie zgniótł w dłoni.

- Co byś powiedział, gdybym to wszystko zabetonował?

Odpadłaby mi kupa roboty.

Michael podał mu swoje piwo.

- Masz, popracuj nad tym.

Alice kłęczała na dywanie w pokoju rodzinnym, przeglądając

kolumnę sportową niedzielnego "Timesa".

- Baseball?

Potrząsnęła głową.

- Wyprzedzą opon. Z lewej strony mam już zupełnie tyse.

- To niedobrze.

- Zobacz, czy nie wspaniale to robią? - Pokazała mu jedno z ogłoszeń. - Piszą, że mają najniższe ceny, ale opony, które oferują nie pasowałyby nawet do dziecięcego samochodziku. -

Odwróciła stronę i wygładziła ją dłonią. - O, następne.

- Porozmawiajmy o wczorajszym wieczorze - zaproponował Michael.

Uśmiechnęła się do niego.

- Im wyżej wchodzi, tym boleśniej obtłukują się przy upadku.

- To nie może być miłość.

- A co ty możesz wiedzieć na ten temat?

Jej uśmiech zdawał się świadczyć o tym, że uważała swoją uwagę za żart, ale to była nieprawda.

- Nie zasłużyłem sobie na to.

Nie wycofała się.

- Zbyt często skamlesz, Michaelu. Za łatwo się poddajesz.

Poparzyłeś się? No to co z tego? Jeśli ten ci się nie podoba, zrób sobie drugi przeszczep, ale tym razem porządny, a nie jakiś wojskowy szajs.

- Ach, rozumiem. P o r z ą d n y.

Zupełnie, jakby armia pozostawiła mu jakiś wybór.

- Zostały znacznie ulepszone.

- Doprawdy?

- Wydad trochę pieniędzy. Zrealizuj jeden z tych tłustych czeków, które bez przerwy ci przysyłają.

- Boże.

- Sam to wszystko na siebie sprowadzasz. Zawsze byłeś taki...

- Alice, ja tylko chcę wiedzieć, kim ona była, do diabła! Muszę wiedzieć, czy mogła w jakiś sposób nadawać.

- A co, według ciebie było w niej coś wojskowego?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie jestem aż tak czuły.

- Ale widzisz moje światło, prawda?

Widział, lecz bardzo słabo. Pulsująca błękitem i zielenią poświata była nieczytelna, jeśli nie liczyć wyraźnego odcienia zakłopotania. Wiedziała o tym, że zadała mu ból, lecz nie sprawiało jej to żadnej satysfakcji.

- Nie rozmawiamy o światłach, Alice. Z tej kobiety tryskały megawaty.

Uśmiechnęła się.

- A widzisz? Właśnie to mówiłam Jackowi. Byłeś w rezonansie.

- W takim razie, niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

- Ależ to wspaniałe! Zachowujesz się tak, jakby to było coś groźnego.

- Bo jest. Dla mnie.

Roześmiała się głośno.

- Mówię poważnie!

Czuł, że jego twarz robi się coraz bardziej gorąca. Czy



oni naprawdę tego nie widzą?

- Biedactwo. Wijesz się na haczyku.

- Och, dziękuję.

- Mam ci powiedzieć, co robić?

- Powiedz mi tylko, kim ona jest, a ja znajdę kogoś, kto ją sprawdzi.

- Zdawało mi się, że odszedłeś już z czynnej służby.

Popatrzył na nią tak, jak zwykle w takiej sytuacji; kolejny fałsz, ale ona i tak na pewno o tym wiedziała.

- Przyjdź w przyszły piątek - powiedziała. - Około ósmej.

- Znasz ją?

Uśmiechnęła się tylko.

- Czy ona mnie zna?

Kolejny uśmiech.

- Mówiła coś o mnie?

- Biedaku...

- Niech to szlag!

Usiadł na środku pokoju i zaczął się przyglądać wszystkiemu, co posiadał: sprzętowi stereo, płytom, wiszącym na ścianach obrazom i stojącym na półkach książkom; sztalugom, farbom i płótnom opartym o kamienne ściany; stosom nie sprzedanych malowideł rozjaśnionych abstrakcyjnymi pajęczynami blasku, którego nikt nie chciał oglądać; plastikowym krzesłem i wysiedzianej, przykrytej tanią narzutą kanapie. Spojrzał przez okno na zakurzone, gęste zarośla, krzewy, dąb i czerwoną manzanitę, jeszcze nietknięte pożarem, który szalał w jego śnie.

A potem pomyślał:

Po prostu czekaj.

Już nadchodzi.

Był to paskudny tydzień. Nie mógł pracować, nie mógł czytać, a nawet porządnie pielnić ogrodu. Stracił masę czasu przeglądając fotografie z pudełka po butach, które znalazł w szafie. Zdjęcia ludzi nie widzianych już od wielu lat: mama, tata i mały Jack, dzieciaki sąsiadów, mężczyźni w mundurach, jego były dziewczyny - wszystkich ich kiedyś znał, a teraz starannie unikał.

Choć kuchnia ziała pustkami, nie mógł się zmusić, żeby pojechać do miasta albo choćby pójść na targ. W czwartek wieczorem zjadł na kolację trzyletni makaron z serem (gotowany w wodzie, bo nie miał mleka), popijając jakimś owocowym napojem przyrządzonym ze sproszkowanego koncentratu, który skawalił się w torebce.

Przez cały piątek przymierzał różne koszule, prał je i wydobywał nowe z jakichś pudeł, których od lat nie widział na oczy. Okazało się, że jest właścicielem całej masy beznadziejnych koszul.

Zachód słońca zastał go w samochodzie, wyjeżdżającym na niskim biegu z kanionu. Szerokie opony rozgniatały kamienie, odrzucając je na boki. Okna mijanych po drodze domów promieniowały ciepłem i bezpieczeństwem. Uparcie prowadził samochód korytem potoku.

Kiedy znalazł się na szosie, nie potrafił zdobyć się na to, żeby jechać szybciej niż dwadzieścia pięć mil na godzinę.

Podchmieleni kierowcy podjeżdżali od tyłu i sprawdzali na nim swoje długie światła.

Prowadził najuważniej, jak tylko potrafił, lecz dom Jacka nie był wystarczająco daleko. Okrążył parcelę, mijając rozświetlone okna i nie zwracając uwagi na kilka znakomitych miejsc do zaparkowania.

Kiedy przejeżdżał koło domu brata, po raz trzeci doszedł nagle do wniosku, że nie może się tam zjawić nie przygotowany; wdepnął pedał gazu, przyśpieszając z piskiem opon. Przy Burbank Boulevard znalazł sklep z częściami elektronicznymi i wypożyczył na wieczór przyrząd.

- Dobrej zabawy, mistrzu - powiedział stojący za ladą facet.

- Dzięki.

Kiedy ponownie zjawił się przed domem Jacka, rozglądając się w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania, było już po dziesiątej. Zostawił samochód aż za następną przecnicą, pod buczącą wściekle latarnią. Starał się iść możliwie powoli, lecz niewiele mu to dało. Wkrótce dostrzegł zalany światłem trawnik, po którym poruszały się liczne cienie, a do jego uszu dotarły obco brzmiące dźwięki muzyki i szmer głosów.

Odetchnąwszy głęboko kilka razy skierował się na ukos przez trawnik, po czym przygłodził włosy i zajrzał do środka przez sięgające od podłogi do sufitu okno.

Poświata unosiła się wokół Alice niczym schwyty w sidła fragment słońca. Do salonu wszedł Jack; powiedział coś i obydwójce się roześmieli. Poświata zamigotała, przestaniając

szczegóły.

Michael wydobyl z kieszeni ciemne okulary i zalozył je.

Wszystko ściemniało, z wyjątkiem poświaty, która wręcz przybrała na sile.

Zdjął szkła. Jack znowu coś powiedział, wywołując kolejny wybuch wesołości swojej żony. Poświata rozbłysła niezliczonymi iskrami.

Michael cofnął się za ścianę i zamknął oczy, czekając, aż serce przestanie mu łomotać w opętanym rytmie. Po minucie gotów był uwierzyć, że będzie musiał czekać całą wieczność; na myśl o tym ogarnęła go wściekłość.

No, dalej! Jeżeli masz to zrobić, zrób teraz!

Sięgnął do pokręteł przytroczonego do pasa zestawu.

Natychmiast zaczęła mu drzeć prawa stopa, nawet jeszcze bardziej niż w sklepie z częściami. Wzmacniacz nie był skalowany już od co najmniej kilku lat.

Na próbę wybrał rozprawiającą głośno i gestykulującą grupkę w kącie salonu; w miarę jak zwiększał wzmocnienie, promieniowanie stawało się coraz wyraźniejsze, błękitne, czerwone i zielone. Nikogo z nich nie znał.

Przekręcił gałkę w drugą stronę i skulił się pod oknem, nie mogąc złapać tchu w piersi. Po minucie ponownie ogarnęła go wściekłość. Zrób to!

Podniósł raptownie głowę, koncentrując spojrzenie na poświacie. Jeśli filtr w układzie tłumienia sygnałów działał poprawnie, powinien zbocznikować ładunek w momencie rezonansu.

Oczywiście, jeżeli w ogóle można mówić o jakimś rezonansie.

Nie zdążył się jeszcze przygotować, kiedy poświata uformowała jaskrawą smugę i poszybowała przez pokój w kierunku okna. Odskokczywszy w ostatniej chwili za ścianę zobaczył, jak świetlisty strumień przechodzi przez szybę niczym promień lasera i pada na domy po drugiej stronie ulicy.

Cholera, jego umysł zaczął wszystko urealniać!

Na granicy jego pola widzenia zamigotały jakieś tajemnicze symbole - japońskie glify elektroniczne. Reset. Zajął poprzednie miejsce, ponownie skoncentrował światło i włączył funkcję automatycznego śledzenia kwantów. Przyrząd syczał cicho, analizując podstawowe stany nerwowe. Prawa stopa Michaela zaczęła szybko drgać, rozgrzewając się z każdą chwilą.

Dalej, dalej! Detektor bzyczał coraz donośniej. Wreszcie poświata nieco przygasła i oczom Michaela ukazał się na ułamek sekundy zarys sylwetki skrytej w czarnej jasności kobiety. Zaraz potem blask powrócił do swego poprzedniego natężenia - wysiadł układ tłumienia sygnałów.

Boże.

Powtórzył całą procedurę, z tym samym skutkiem.

- Niech to szlag trafi! - szepnął. Przyrząd, którym dysponował, był zbyt rozregulowany, żeby cokolwiek przy jego pomocy osiągnąć.

Odwrócił się, nie przestając jednak manipulować przy pokrętłach. W polu widzenia pojawiły się nowe symbole - czerwone wykrzykniki i jaskrawożółte błyskawice - ostrzegające go przed przeładowaniem. Wspaniale! Przeniósł ciężar ciała na prawą, zmartwiałą nogę i runął jak długi na trawnik.

Ten sam, co poprzednio, strumień zatoczył ponownie koło, przepalił ścianę i oświetlił go, leżącego bezradnie na trawie.

Zamarł w bezruchu, słysząc jedynie bicie swego serca. Nie mógł nic zrobić, więc tylko uniósł głowę i spojrzał prosto na nią.

W chwili, gdy spotkały się ich oczy, w jego uszach rozległy się przeraźliwe, alarmowe dzwonki. Dom Jacka wyrzucił się i eksplodował oślepiającymi, symulowanymi płomieniami. Tym razem to ona zemdląca.

Wyszarpnął z karku wtyczkę i rzucił się do ucieczki. Każde źdźbło trawy było otoczone własną kolumną błękitnego ognia.

Dotarłszy do domu wrzucił do samochodu śpiwór, sprzęt turystyczny i kilka plastikowych baniaków wypełnionych wodą ze strumienia, następnie zatrzymał się przy otwartym supermarkecie, gdzie kupił ogromną ilość konserw mięsnych, potrawek chili i chipsów, a wreszcie wyjechał z miasteczka drogą prowadzącą u podnóża gór. Po pewnym czasie skręcił na północny wschód, w szosę numer 14, wiodącą w górę doliny przez Palmdale, Lancaster i Mojave, a jeszcze później w 395, którą pojechał prosto na północ.

Szerokobieżnikowe opony łomotały po asfalcie, wybijając wysoki, głuchy ton. Droga była ciemna, prosta i pusta. Nie widział nic oprócz pojawiającego się co jakiś czas błysku światła daleko na pustyni. Opuścił boczne szyby, wpuszczając do środka ciepłe, nocne powietrze. Po jakimś czasie zauważył, że znowu może oddychać. Niewiele brakowało, żeby się uśmiechnął.

Tuż przed świtem skręcił w dobrze sobie znany dojazd do Przełęczy Townes, zachodniej bramy Parku Narodowego Doliny Śmierci. Zanim pokonał czterdzieści kilka mil dzielących go od Piekelnego Potoku, zrobiło się już zupełnie widno, a temperatura wzrosła prawie do czterdziestu stopni. Zupełnie mu to nie przeszkadzało.

Wjechał na puste pole biwakowe i zajął ten sam co zwykle skrawek terenu - betonowy stół z widokiem na pustkę. Postawiwszy jedną nogę na ziemi zamarł w bezruchu, wsłuchując się w dźwięczącą w uszach ciszę. Żadnego poruszenia, żadnej poświaty. Odetchnął głęboko. Pot spływał mu po policzkach, a gorący wiatr rozwiewał włosy. Wszystko w porządku.

Chili okazało się na tyle ciepłe, że mógł je jeść prosto z puszki. Usiadł na pokrytym siecią pęknięć stole i zapatrzył się na drugą stronę pustki, którą przyjechał obejrzeć. Pot ściekał mu po twarzy, kapiąc do otwartej konserwy. Uśmiechnął się. Raj.

W tydzień później zjechał na podjazd przed swoją chatą, zatrzasnął za sobą drzwiczki i przez chwilę stał w milczeniu, wsłuchując się w szum rozgrzanego silnika.

Na popołudniowym niebie wisały nisko ciemne, wezbrane deszczem chmury. Stojąc na pokrytej pyłem ziemi obok samochodu spoglądał w górę kanionu. Suche liście szeleściły w podmuchach chłodnego wiatru, a strumień szemrał cicho, przeciskając się między kamieniami. Nabrał pełne płuca powietrza. Wszystko było takie, jakie powinno być - płaskie i pozbawione życia.

W skrzynce na listy znalazł czek z rentą i rachunek ze

sklepu z częściami elektronicznymi za nie zwrócone w terminie urządzenie. Do diabła z nimi.

Przeniósł część sprzętów do chaty. W tylnych drzwiach tkwiła zwinięta kartka. Brat prosił go, żeby jak najszybciej się z nim skontaktował w bardzo pilnej sprawie. Przez chwilę zastanawiał się, co to mogło być, a potem skrzywił się. No tak.

Wszedł do środka. We wnętrzu chaty panował gorący zaduch.

Otworzył okna i rozejrzał się dookoła. Nic się nie zmieniło.

Wędrował z pokoju do pokoju, przyglądając się wszystkiemu i chłonąc panujący wszędzie spokój.

Chin Lai wypełniała ciszę miauczeniem swoich syjamskich kociąt, ale to było dawno temu. W górach nie można trzymać kotów, bo prędzej czy później giną, pożarte przez kojoty. Może i lepiej, że tak się stało. W ostatnim okresie zaczęła zbyt głośno mruzczyć, powodując u niego bóle głowy. Stała się zbyt ż y w a, wybijając się z płaskiego tła, którego potrzebował.

Mimo to w pudle na najwyższej półce szafy ciągle trzymał jej niebieski, plastikowy talerzyk.

Włączył radio, lecz nie mógł znaleźć niczego, co dałoby się przez jakiś czas słuchać, więc je wyłączył. Na zewnątrz szeleściły liście dębu. Usiadł na kanapie, oparł się wygodnie i zamknął oczy.

Wiatr nadlatywał falami, szarpiąc gałęziami drzew. Zastony wzdymały się niczym żagle, by za chwilę bezwładnie zwisnąć. Z cichym pomrukiem włączyła się lodówka; umilkła po pięciu minutach.



Wstał i ponownie przeszedł się po wszystkich pomieszczeniach, zwracając szczególną uwagę na rzeczy, które wymagały naprawy: obłaząca farba, krusząca się zaprawa, dziura w ścianie w miejscu, w którym naprawiał ciekącą rurę. Za dużo, za dużo... Usiadł na jednym z plastikowych krzesel w miejscu, z którego widział leżące na kuchennym stole pudło z fotografiami. Na jego widok zrobiło mu się niedobrze, więc zamknął oczy. Lodówka włączyła się, działała przez pięć minut i ucichła. Ciemne zasłony unosiły się i opadały, oddychając w rytmie kołysania skrzypiących drzew. Z daleka dobiegał warkot piły spalinowej. Popołudniowe światło zaczęło powoli przygasać.

Dwie godziny później zaczął padać deszcz. Michael podniósł się z krzesła i zamknął okna. Krople zacinały do środka, mocząc zasłony.

Następnego ranka leżał bardzo długo w łóżku. O wpół do jedenastej odezwał się telefon, zadzwonił dziesięć razy, po czym umilkł. Michael zrzucił z siebie koc, wpatrując się w sufit.

O jedenastej w pokoju zaczęło robić się duszno.

Wygrzebał się z łóżka i pootwierał okna. Do wnętrza wtargnęło gorące, suche powietrze. To wszystko, jeśli chodzi o letni deszcz, pomyślał.

Zrobił dwa tosty, posmarował je margaryną i wyszedł na kuchenne patio. Pięć minut później telefon znowu zaczął dzwonić. Tym razem podniósł słuchawkę.

- Jesteś wreszcie! - usłyszał głos Jacka.

- Zgadza się.

- Gdzie byłeś? Na pustyni?

- Jak zwykle.

- I jak?

- Z początku w porządku, ale potem zrobiło się tłoczno, więc wróciłem.

- To przez zaćmienie. Ludzie chcą mieć dobry widok.

- Tak właśnie mówili. Ja osobiście wolę je oglądać przez warstwę smogu.

- Hmm... Zauważyłeś?

- Co?

- Że spóźniłeś się o tydzień na przyjęcie.

- A, o to ci chodzi. Byłem tam.

Jack roześmiał się.

- Więc to ty?

- Ja.

- Rąbnęła na podłogę jak worek mokrego cementu.

- Wiem.

- Wywierasz na dziewczynach piorunujące wrażenie.

- Zdaje się, że tylko na jednej.

- To co z tego? Po co ci więcej, kiedy jesteście w rezonansie?

Słusznie. Przypomniał sobie eksplozję w salonie Jacka.

- Słyszysz mnie?

- Przepraszam cię, Jack. To wszystko jest zbyt niezwykle.

- Jesteś pewien, że nie chcesz spróbować jeszcze raz?

Oparł się o kamienną ścianę i spojrzał przez otwarte,

kuchenne drzwi na wewnątrz swego domu. Nic nie odpowiedział.

- Zdziwiłbyś się.

- Właśnie o to chodzi, Jack. Nie mogę już sobie pozwolić na zdziwienia.

- Chyba rzeczywiście nie.

- Właśnie tak się teraz mają sprawy.

- Alice bardzo się na tobie zawiodła.

- Kupiła już nowe opony?

- Nie.

- Może to podniesie ją na duchu.

- Jesteś twardym człowiekiem.

- Nie, tylko samotnikiem.

- Jeżeli chcesz usłyszeć prawdę, to jesteś po prostu głupim fiutem.

- Dzięki.

Wrócił na patio w samą porę, by ujrzeć sójkę zrywającą się do lotu z resztkami grzanki w dziobie. Ptak był płaski i pozbawiony życia.

W trzy dni później nadeszło zaćmienie. Wszystkie południowokalifornijskie stacje radiowe poświęciły zapowiedziom tego wydarzenia tyle miejsca, iż Michael uznał, że właściwie on też może popatrzeć. Wziąwszy kilka jabłek i manierkę z wodą wspiął się na szczyt wznoszącego się zaraz za chatą wzgórza. Rozciągające się u jego stóp miasto było przesłonięte brązową mgiełką, wypełniającą dolinę San Fernando niczym brudna woda. W promieniach słońca migotały karoserie poruszających się samochodów. Dochodziło południe.

Usiadłszy na płaskim kamieniu ostonił dłonią oczy i skierował wzrok w czyste niebo. Wkrótce udało mu się dostrzec blady dysk nowego kolektora energii, bez porównania mniej rzucający się w oczy od jaskrawej tarczy Słońca. Jednak kolektor, okrążając Ziemię po sześciusetkilometrowej orbicie, mógł zasłonić nawet szesnaście słońc zgrupowanych jedno przy drugim. Wkrótce miał zostać przesunięty na orbitę stacjonarną, gdzie stanie się właściwie niewidoczny. To całkowite zaćmienie miało jednocześnie być ostatnim.

Zerknął na zegarek, a potem przeniósł spojrzenie na milczącą, migoczącą dolinę. Znalazł się na miejscu w samą porę. W dwie minuty później krawędź przesuwającego się z zachodu na wschód kolektora zaczęła przesłaniać tarczę Słońca. Po kolejnych sześciu lub siedmiu sekundach gwiazda niemal zupełnie zniknęła, dzięki czemu bez trudu dostrzegł w unoszącym się w powietrzu pyłe odbicia przedzierających się przez atmosferę fal cieplnych. Miasto sprawiało wrażenie zaskoczonego i zaniepokojonego, jakby na niebie pojawiły się nagle czarne chmury. Zapłonęły uliczne światła, przecinając dolinę kreskami migoczących iskierek. Ruch niemal ustał, bowiem kierowcy zatrzymywali samochody przy krawężnikach, żeby popatrzeć w niebo.

Czarna umbra cienia przemknęła szybko przez wzgórza i rozlała się nad doliną. Słoneczna korona wystrzeliwała przez chwilę nad poszarpaną krawędź kolektora, a potem zniknęła. Na ponurym, fioletowym niebie pokazały się zimowe gwiazdy, a nad zachodnim widnokregiem rozbłysła jasno Wenus. Na wschodzie

można było dostrzec nieprawdopodobnie cienki i blady sierp  
Księżycy, lecz wkrótce i on zniknął, pochłonięty przez  
ciemność.

Michael ponownie spojrzał na dolinę. Zapalało się coraz  
więcej świateł, lecz nie tak dużo, jak w każdą zwyczajną noc.  
Bez wątpienia ludzie stali na zewnątrz, wystawiając twarze na  
podmuchy chłodnego wiatru, obserwując zaćmienie i rozprawiając  
o nim z podnieceniem.

Coś zwróciło jego uwagę w przyćmionym, przesłoniętym  
smogiem migotaniu świateł miasta; jaskrawa plama, skrząca  
się czerwienią i zielenią, przypominająca bezdymną świecę z  
fabryki fajerwerków. Zerwał się z miejsca, czując na czole  
lodowaty pot. Wiatr niósł z doliny odgłosy kanonady -  
najbardziej przesądni usiłowali strzałami odstraszyć  
ciemność.

Jasna plama rozbłysła jeszcze bardziej, niemal go  
oślepiając. Zatoczył się do tyłu.

Boże, pomyślał. To o n a. Jest tam i widzi mnie.

Nie był w stanie odwrócić wzroku. Całe wzgórze płonęło, a  
jasna plama w dole zamigotała i w jakiś niewyjaśniony sposób  
odwróciła się od niego. Po raz pierwszy czuł wyraźnie, że za  
nią ukrywa się ktoś żywy, groźny, potężny i niespokojny.

Zgaśnij, powtarzał bez przerwy w duchu. Zgaśnij, zgiń,  
zniknij! Wpatrywał się w światło, śląc mu swoje myśli. Zniknij,  
odejdz, zostaw mnie samego! Jasna plama rozbłysła ze zdwojoną  
mocą.

- Błagam!

Światło pulsowało przez chwilę, jakby nie mogąc podjąć decyzji, a potem zaczęło powoli przygasać.

Oderwał od niego spojrzenie i skierował je w niebo, gdzie biała korona Słońca wychyliła się ponownie zza czarnego dysku.

Całkowite zaćmienie trwało około piętnastu sekund, a teraz kolektor energii odsłaniał stopniowo słoneczną tarczę.

Michael wciągnął w płuca potężny haust powietrza i omiół wzrokiem dolinę, z pewnym trudem odnajdując dogasającą plamę światła. Na ułamek sekundy zapłonęła silniejszym blaskiem - serce zamarło mu w bolesnym skurczu - a potem znikła. Drgnął nerwowo, gdy zgasły uliczne lampy.

Udało mu się jeszcze raz odszukać tajemniczą poświatę, tłącą się na granicy dostrzegalności. Jakże szybko niebo odzyskiwało swój poprzedni kolor! Ulice zaroily się od błyszczących w promieniach słońca samochodów. Oczy zaszyły mu łzami. Wracał dzień, a z doliny ponownie dobiegły przytłumione odległością odgłosy kanonady, której towarzyszyło trąbienie klaksonów - wszystko na cześć wracającego Słońca. Przez warstwę smogu przebijały się niezliczone światełka - odbłaski szyb, zderzaków, lusterek i zamykanych okien, niknące i pojawiające się na nowo, miliony bezimiennych, migających punkcików, wszędzie światła, same światła...

Przełożył Arkadiusz Nakonecznik

THOMAS WYLDE

Kalifornijczyk, 42 lata, trzy lata przesłużył w armii amerykańskiej naprawiając radary, w bazie obrony

przeciwlotniczej w New Jersey. Ukończył anglistykę dzięki  
ulgom przysługującym żołnierzom.

Opublikował około dwudziestu opowiadań w różnych pismach,  
a także cztery powieści (dwie w serii Rogera Zelazny'ego  
"Alien Speedway").

Kawaler, bardzo nieporządny.

D.M.